

Nelson S. Bond

# Ładunek z Wenus

(F.O.B. Venus)

Fantastic Adventures, November 1939

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

## © Public Domain

This text is translation of the short story "F.O.B. Venus" by Nelson S. Bond.

This etext was produced from *Fantastic Adventures*, November 1939. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:

[http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB\\_kolekcja%22&sort=-publicdate](http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate)

Coś się trochę pochrzało w moim nadajniku, właśnie skończyłem to naprawiać i rozsyłałem do wszystkich CQ na paśmie 20, kiedy drzwi do kabiny radiowej otworzyły się i do środka wszedł kapitan Hanson.

Naturalnie, byłem zaskoczony. Dopiero cztery godziny temu wyszliśmy spod warstwy Heaviside'a Wenus i nie spodziewałem się żadnych gości, a już najmniej starego. Ale usadowił się na najlepszym krzeselku i oświadczył:

— Sparks, popatrz na mnie! Kogo widzisz przed sobą?

Lekko mną to wstrząsnęło. Nawet najlepsi z nich mogli od czasu do czasu dostać starego dobrego kuku na muniu, nigdy bym jednak nie pomyślał, że dożyję chwili, kiedy w kosmiczny obłęd wpadnie kapitan Hanson. Był w korporacji już jako chłopak, od ponad trzydziestu lat, i nigdy nie spędził nawet dnia w suchym doku. Ostrożnie sięgnąłem ręką za siebie i rzuciłem najbardziej uspokajającym tonem, jaki byłem w stanie wyprodukować.

— No cóż, jest pan naprawdę wspaniałym człowiekiem, panie kapitanie. A teraz proszę posiedzieć tu spokojnie przez chwilę. Muszę tylko...

— Przestań zachowywać się jak ostatni głupiec, Sparks! — przerwał mi ze zmęczeniem stary. — I odłóż ten cholerny klucz! Nie odbiło mi – przynajmniej jeszcze nie. Zadałem ci tylko jedno proste pytanie. Kogo przed sobą widzisz?

Odparłem mu:

— Czy szuka pan czystych faktów, czy mogę sobie pozwolić na pewną licentia poetica? Jeśli chodzi o fakty, to widzę eleganckiego, lekko siwiejącego mężczyznę, nieco po pięćdziesiątce, który z niejednego pieca chleb jadł, zna kosmos jak własną kieszeń i...

— Źle! — oznajmił Hanson. — Sparks, wszyscy radiowcy są głupi. Pewnie dlatego właśnie zostałeś radiowcem. Widzisz przed sobą załamanego człowieka. Człowieka ciężko doświadczonego przez los i paskudny zbieg okoliczności. Nie wspominając już o wtrącających się we wszystko wiceprezesach.

Tym razem, załapałem.

— Biggs? — zasugerowałem.

— Tak, Sparks. Biggs. Powiedz mi, jak facet facetowi, czym ja sobie zasłużyłem na Biggsa?

I tu mnie miał. Funkcji kapitana *Saturna*, nie nazwałbym lekką robotą, nawet w najlepszych warunkach. *Saturn* jest najstarszym lugrem kosmicznym, ciągle pozostającym w aktywnej służbie na trasach Korporacji. Zbudowany został dawno temu, jeszcze przed końcem wieku. Przez ostatnie dziesięć, dwanaście lat służył jako frachtowiec, po tym jak został uznany za nieodpowiedni do lotów pasażerskich, przez RKBK – Radę Kontroli Bezpieczeństwa w Kosmosie.

Żeby jeszcze bardziej pogorszyć sprawę, kiedy zabieraliśmy ładunek w porcie kosmicznym w Sun City, stary został wezwany do biura kompanii. Kiedy stamtąd wrócił, holował za sobą Biggsa.

Biggs był wysoki. Biggs był chudy, kościsty, i można by tu dalej wymienić wszystkie przymiotniki używane w stosunku do gości ze sterczącym jabłkiem Adama. Na twarzy nosił ogromny, uśmiech od ucha do ucha, dokładnie tak głupi, jak można to sobie wyobrazić. Miał papiery trzeciego oficera, co upoważniało go do tytułowania „pan” Biggs – to „pan” było niezłym kamuflażem dla jego prawdziwego imienia, Lancelot.

Ale przede wszystkim... Biggs był bratankiem starego, gburowatego Prendergasta Biggsa, pierwszego wiceprezesa Korporacji. A więc, kiedy przydzielono Biggsa na *Saturna*, stary nie mógł zrobić niczego poza przełknięciem śliny i odpowiedzią „Doskonale”.

Nikt jednak nie mógł go powstrzymać przed marzeniem, że Biggs potknie się o swoje własne bagaże i skręci sobie ten swój chudy kark – niestety Biggs tego nie zrobił. To znaczy, był wystarczająco niezgrabny, żeby się potknąć, ale miał też na tyle dużo szczęścia, by wylądować jak na miękkiej poduszce, kiedy to się już stało!

Spytałem delikatnie:

— Co on do tej pory narobił, panie kapitanie?

— A czego on nie narobił? — wyjęczał stary. — Najpierw, kiedy wrywaliśmy się z uchwytu Wenus, powiedział, że potrafi obsługiwać gravity. Tak więc...

— Och! — wtrąciłem. — A więc to on jest temu winien, tak?

— Przestań pocierać sobie głowę i rozczulać się nad sobą — powiedział Hanson. — I tak miałeś szczęście. Główny inżynier Garrity robi sobie okłady na podbite oczy. Jeden z pomocników mechanika ma złamaną rękę. Każdy na statku latał aż po sam sufit, tak jak ty.

— Coś jeszcze? — spytałem.

— Wszystko jeszcze! — parsknął Hanson. — Kiedy my wszyscy kotłowaliśmy się w powietrzu, Biggs złapał się ręcznych sterów. Przez pomyłkę włączył ręczny deflektor. Todd właśnie skończył obliczać poprawkę kursu. W tej chwili jesteśmy przecinek zero siedem stopnia poza trajektorią; niemal trzysta tysięcy mil! Musimy podkręcić obroty i zmarnować paliwo, żeby wrócić na kurs, albo zameldujemy się na Ziemi dzień później. A przecież wiesz, co to by oznaczało!

No pewnie, że wiedziałem, co to by oznaczało. Stary na dywaniku przed Radą; reszta z nas siedząca jak na szpilkach i obgryzająca paznokcie, zastanawiając się, czy nie wywalą *Saturna* z trasy na Wenus.

— No dobrze, i co zamierza pan z nim zrobić?

— A co ja mogę?

— Zawsze pozostaje śluza powietrzna — zasugerowałem. — Nikt nie będzie pana winił.

— Nie czas teraz na głupie dowcipy, Sparks! — poskarżył się stary. — To naprawdę poważny problem. Mamy wartościowy ładunek korzeni mekel i fasoli clab, który trzeba dostarczyć do Nowego Jorku. Ale jeśli ten głupiec jeszcze raz zakłóci nasz lot...

Pokręcił żałośnie głową. Ja podrapałem się po swojej. I wtedy wpadłem na genialny pomysł.

— Ładunek! — oznajmiłem. — Oto rozwiązanie pańskiego problemu, panie kapitanie!

— Zamieniam się w słuch — odparł Hanson.

— Niech pan zrobi Biggsa odpowiedzialnym za ładunek. W ten sposób pozbędzie się go pan do ładowni, na cały lot. Nie będzie się kręcił na górze, po wieżyczce sterowniczej, żeby pana denerwować. A co on może zrobić tam na dole, żeby komukolwiek zaszkodzić?

— Ale, to jest praca supercargo — zmarszczył brwi stary. — I Biggs o tym wie.

— Pewnie. Ale Harkness będzie z panem współdziałał. Proszę mu powiedzieć, aby udawał, że jest chory. Niech pan mu da wolne na ten lot. I tak na to zasłużył. A wtedy logiczne będzie, umieścić pana Biggsa tam na dole, ze specjalnym zadaniem.

Stary uśmiechnął się szeroko.

— Sparks, cofam to wszystko, co powiedziałem o radiowcach. Myślę, że masz tam coś między uszami, oprócz gumki!

— A więc, zrobi to pan?

— Natychmiast — odparł Hanson, wstając. — Jeśli nie jeszcze szybciej.

**I** tak się stało. Tej nocy miałem czas wolny od służby i zszedłem na dół do mesy, żeby zjeść tyle wodnistej gulaszu Słopsa, ile zniesie mój żołądek. Pierwszą osobą, na którą się natknąłem, był oczywiście sam pan Lancelot Biggs.

— Cześć, Sparks — powiedział.

— Cześć — odparłem. — Co pan robi o tej porze w mesie? Myślałem, że jada pan razem z kapitanem.

— Tak było do tej pory — uśmiechnął się. — Dzisiaj popołudniu Harknessa wzięło jakieś choróbko i stary wyznaczył mnie w trybie awaryjnym na jego miejsce.

— Naprawdę? — rzuciłem, starając się wyglądać na mocno zaskoczonego. — No cóż, to poważne zadanie. Wie pan, duża odpowiedzialność. Ten ładunek jest bardzo cenny.

Musiałem się uśmiechnąć, kiedy jego chuda twarz otrzeźwiała.

— Zdaję sobie z tego sprawę, Sparks. Bardzo dużo myślę na temat tej pracy. Wiesz przecież, że mam trochę duszę eksperymentatora, i wydaje mi się...

Jedne z chłopców z messy przyniósł mi w tym momencie moje żarcie i już nie słuchałem reszty jego gadaniny. Co było poważnym błędem. Gdybym słuchał, mógłbym zawczasu ostrzec kapitana Hansona o zbliżających się kłopotach.

Myślę, że był to mniej więcej trzeci dzień w kosmosie, kiedy zacząłem wyczuwać te zapaszki. Tak, wiem że to był trzeci dzień, ponieważ właśnie skontaktowałem się z Joe Marlowem na Lunar Trzy, przekazując mu deklinację i szybkość lotu *Saturna*. Pomyślałem sobie, że to zabawne, ale

wydawało mi się, że szybko minie. Nie minęło. Robiło się coraz gorzej. W końcu, piątego dnia, postanowiłem coś z tym zrobić.

Nie ma lepszej rzeczy niż wyjść kłopotom naprzeciw. Byłem właśnie w drodze z kabiny radiowej do wieżyczki sterowniczej, kiedy wpadłem z hukiem na kapitana Hansona. Była to kolizja czołowa, ale „Ooo!” szefa trwało odrobinę dłużej niż moje, tak więc zacząłem mówić jako pierwszy.

— Proszę posłuchać! — ryknąłem. — Mam już mniej więcej tak bardzo dosyć tej starej dziurawej łajby, ile jestem w stanie wytrzymać. Jeżeli nie skończy pan z tymi smrodami, które produkuje w kuchni Slops...

Hanson obrzucił mnie spojrzeniem, które zmroziłoby piekło.

— Nie życzę sobie z tobą kłopotów, Sparks! — brzmiała jego odpowiedź. — Ja też poczułem te zapaszki. I o to właśnie szedłem cię zapytać. Czy nie bawiłeś się czasami tymi swoimi eksperymentami chemicznymi?

— Nie — poinformowałem go wyniośle. — A poza tym, o ile chemikalia mogą czasami trochę śmierdzieć, to żadne z nich nie dają nigdy odoru beczki przegniłej kapusty. Może poza kilkoma związkami siarki. — Potem popatrzyłem na niego. — Ja nie żartuję. Myślę, że te zapaszki docierają tu na górę z kuchni.

Stary cicho jęknął.

— Kłopoty. Ciągłe tylko kłopoty. Nie wystarczy, że mam jakoś przeciągać tę balię między Ziemią i Wenus. Teraz jeszcze muszę zajmować się jakimiś smrodami. No cóż, chodźmy więc. Rzućmy na to okiem!

Zeszliśmy do kuchni. Slops mieszał coś w misce, podgrzewając ją. Wystarczył mi jeden rzut oka i wzdrygnąłem się. Tapioka – znowu. I nie mówcie mi, że nie powinno się mieszać tapioki na ogniu. Ja to wiem. Powiedzcie Slopsowi.

Na ten widok stary stracił cierpliwość.

— No dobra, Slops — warknął. — Poddajemy się. Gdzie to schowałeś?

Slops wyglądał na zaintrygowanego.

— Schowałem, co? Ja niczego nie chowałem. Co to jest, jakaś gra?

— No pewnie — włączyłem się. — Nazywa się Zepsuć Atmosferę. Gra się w nią ściskając nos palcem wskazującym i kciukiem. A potem próbuje się domyślić, co tu zdechło.

— Spokój, Sparks! — zaryczał stary. Potem do kucharza: — No i co, Slops?

Slops wzruszył ramionami.

— Ja nic nie zrobiłem — zaprotestował. — Niczego nie chowałem i niczego nie wachałem. A teraz, mam obiad na ogniu. Idźcie już stąd i zostawcie mnie w spokoju.

Stary spojrzał na mnie, a ja spojrzałem na niego. Obaj jednocześnie zdaliśmy sobie sprawę z jednej rzeczy. Slops nie kłamał. Ten odór nie był tutaj tak mocny, jak na górnym pokładzie.

Hanson podrapał się po głowie. Popatrzył na mnie podejrzliwie.

— Sparks, na pewno nie bawiłeś się mieszaniem żadnych chemikaliów?

— Przysięgam — zapewniłem go, — żebym miał do końca życia dzienniki pokładowe wypisywać. Ten smród dochodzi z... Hej, a co jeszcze oprócz kuchni leży pod moją kabiną i wieżyczką sterowniczą?

— Ja jestem kucharzem — stwierdził Slops, ciągle mieszając tapiokę — a nie planem statku. Mnie nie pytaj.

— Zamknij się! — ostro rzucił kapitan Hanson. — On nie pytał ciebie. Zobaczmy, Sparks. Jest szafka z zapasami... rezerwuar... zbiorniki chłodzące i... — Nagle rozszerzyły mu się oczy; z przerażeniem — Sparks! — wychrypiął.

— Tak?

— Ładownia z roślinami!

**I** to był strzał w dziesiątkę. Wiedziałem to już w chwili, kiedy kończył mówić. Ładownia z roślinami – i Biggs, który za nią odpowiadał!

Pobiegliśmy co sił w nogach do najbliższej rampy. W chwili kiedy skręciliśmy w korytarz prowadzący do ładowni, smród zrobił się dużo gorszy. Hanson przemknął nim jak rozpędzona asteroida, a ja deptałem mu po piętach. Walnęliśmy w drzwi, otwierając je z hukiem...

Biggs był w środku. Ten cholerny głupiec stał tam ubrany w skafander kosmiczny, spokojnie spryskując puszeki z korzeniami mekel i clab, przy pomocy węża!

Kiedy wpadliśmy do środka, odwrócił się w naszą stronę, oczy błyszczały mu spoza kwarcytowej szyby. Jego audiofon uprzejmie zatrzeszczał.

— Witajcie! — oznajmił. — Czy coś się stało?

— Coś się stało! — zaryczał kapitan Hanson. — On pyta, czy coś się stało! Ten... ten skafander! Ten... wąż... — Twarz starego robiła się purpurowa. — I to ciepło!

— Wyłączyłem urządzenia chłodzące — uprzejmie zatrzeszczał Biggs. — Widzi pan, miałem taką teorię, że ponieważ klimat na Wenus jest ciepły i wilgotny, lepiej będzie dla ładunku, jeśli spróbuję zasymulować jego normalne warunki rozwoju. A więc...

— A ten skafander? — ryknął Hanson. — Skąd ten skafander?

Biggs machnął bagatelizująco rękoma.

— A to, z powodu możliwej infekcji, wie pan. Nie chciałem wystawiać roślin na żadne organizmy...

— Infekcja... wilgotność... ciepło... — kapitan Hanson poddał się. Zatopił twarz w dłoniach. — Powiedz mu, Sparks. Powiedz mu, co narobił!

Powiedziałem.

— Niech pan posłucha, Biggs. Pańska teoria... jest błędna. *Clab* i *mekel* muszą być przechowywane w zimnej i suchej atmosferze, inaczej zaczną gnić. A prawdę mówiąc, te tutaj już zgniły! Właśnie dlatego razem z kapitanem zeszliliśmy na dół – żeby zobaczyć co tak cuchnie. Gdyby pan nie miał na sobie skafandra, sam by pan to zauważył.

— Cuchnie? — powtórzył Biggs. — Jeśli już tak o tym pomyśleć, to rzeczywiście od czasu do czasu zauważałem swoisty zapach na statku. Myślałem jednak, że to szczury!

Szczury! Na statku kosmicznym! Wyobraźcie sobie!

Dla Hansona to była ostatnia kropla goryczy. Próbował, naprawdę bardzo ciężko próbował. Ale teraz eksplodował.

— Biggs! — zaryczał jak ranny niedźwiedź. — Zniszczył pan ten ładunek! Natychmiast zwalniam pana z zajmowanego stanowiska! Ale zanim uda się pan do swojej kwatery, ma pan posprzątać każdy skrawek tego bałaganu. Powiedziałem, każdy skrawek, zrozumiano! Wyrzucić to na śmieci! Posprzątać do czysta!

Biggs oklapł.

— A...ale, panie kapitanie, ja tylko chciałem...

— Słyszał mnie pan!

Stary obrócił się na pięcie, wściekły z gniewu i ruszył w stronę drzwi. Pośpieszyłem za nim. Zacząłem szeptać mu do ucha:

— Proszę się uspokoić, panie kapitanie. On jest bratankiem wiceprezesa. Może powinien pan trochę zwolnić.

— Zwolnić? — wyjęczał stary. — Ładunek wart pięćdziesiąt tysięcy dolarów zniszczony – a ty mi mówisz, że powinienem zwolnić? Chcę zobaczyć jak ten zidiociały syn kosmicznego szmaciarza będzie się smażył w piekle! Wywalę go na zbity łeb z kosmosu, choćbym miał za to trafić na czarną listę!

Zamknąłem się. Co tu można było jeszcze powiedzieć? Ładunek o wartości pięćdziesięciu tysięcy zielonych gnije w ładowni. Rada nas za to pokocha!

**T**o było wszystko, przynajmniej do następnego dnia rano. Kolejnego poranka, byłem na mostku, kiedy kapitana Hansona odwiedził gość. Garrity, główny inżynier. Garrity *nigdy* nie przychodził na mostek. Tak więc, w chwili kiedy go ujrzałem wiedziałem od razu, że musiało się stać coś naprawdę złego.

Tak też było. Już pierwsze słowa Garrity'ego spowodowały, że stało się to oczywiste. Popatrzył na starego oskarżycielsko, gniewnym spojrzeniem ciągle jeszcze lekko sino podbitych oczu.

— Kapitanie Hanson — wybuchnął. — Czy będzie pan tak uprzejmy i powie mi, gdzie mogę znaleźć swoje pojemniki Forenzego?

Hanson zapytał:

— Pojemniki Forenzego? O czym pan mówi, panie Główny?

— Z całą pewnością wie pan, co to jest pojemnik Forenzego — ironicznie oświadczył Garrity. — To ołowiany pojemnik na elektrolity bateryjne. Wczoraj w magazynku było ich trzydzieści. Dzisiaj, zostało zaledwie sześć!

Kapitan stwierdził opryskliwie.

— Panie Główny, będzie pan tak uprzejmy i sam pan sobie poszuka swoich pojemników. Ja nic na ten temat nie wiem. Jeśli nie potrafi pan

upilnować swojego wyposażenia, to proszę nie przychodzić z tym na skargę do *mnie*!

— Przychodzę na skargę do pana, panie kapitanie — odparł główny inżynier, — z jednego bardzo prostego powodu. To jeden z pańskich ludzi zabrał je z szafki. To był pański trzeci oficer, pan Biggs!

— Biggs! — powtórzył kapitan. — Biggs!

Twarz mu poczerwieniała. Podszedł do pulpitu interkomu, dźgnął palcem w przycisk, który połączył go z kwaterą Biggsa.

— Panie Biggs! — wykrztusił. — Pan Garrity jest u mnie na górze we wieżycy, i pyta o dwadzieścia cztery ołowiane pojemniki, które w dziwny sposób zniknęły z jego szafki na sprzęt. Czy wie pan coś na ten...

Membrana głośniczka słuchawki wybrzęczała cicho odpowiedź. Hanson drgnął. Wytrzeszczył oczy. Zawołał:

— Co?!

Ponownie metaliczne bzyczenie. Tym razem Hanson nawet nie próbował odpowiadać. Zataczając się odszedł od telefonu.

— P...panie Garrity — wyszeptał, — czy będzie pan potrzebował tych pojemników zanim dotrzemy do portu?

— No cóż, one nie są aż tak krytycznie ważne... — przyznał Garrity. — Ale, czemu pan pyta?

Hanson machnął niemrawo ręką.

— Ponieważ one są... w kosmosie.

— Co? — wtrąciłem. — Na zewnątrz statku? Jakim cudem? Dlaczego?

W oczach Hansona widać było udrękę.

— Biggs — oznajmił pustym głosem — pomyślał, że to są kubły na śmieci! Użył ich do wyrzucenia zgniłego ładunku!

**N**o cóż, przynajmniej ta utrata pojemników Forenziego nie niosła ze sobą żadnego zagrożenia. Ale wiecie, że to nawet ja musiałem przekazać informację o tym panu Biggsowi? Tak. Tej nocy otrzymałem osobistą wiadomość dla niego, a więc zaniósłem ją na dół, do jego kabiny. Ponieważ miał zakaz opuszczania swojej kwatery, czuł się samotny. Wyglądał jak zbity pies, a więc zrobiło mi się go żal. Zostałem wobec tego na chwilę u niego, żeby pogadać.

— Domyślam się, że uważasz mnie za straszego głupca, Sparks — powiedział żalonym tonem. — I jestem pewien, że kapitan Hanson sądzi tak samo. Ale... to jest mój pierwszy lot, przecież wiesz. A nikt nigdy nie powiedział mi, czego używać jako wiadra na śmieci...

— Proszę posłuchać, panie Biggs — zacząłem mu wyjaśniać. — W kosmosie wiadra na śmieci są niepotrzebne. Nie może pan tak po prostu wyrzucać rzeczy przez śluzę i spodziewać się, że pan się ich pozbędzie.

— Ale kapitan Hanson powiedział, żeby te zgniłe rośliny wyrzucić na śmieci.

— Na śmieci. Nie tak po prostu wyrzucić! Powinien pan je wrzucić do spalarki. Widzi pan, wszystko co zostanie wyrzucone z *Saturna* w próżnię, podąża dalej za statkiem. — Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu. — Nie



chciałbym być w skórze któregoś z pracowników obsługi w porcie kosmicznym na Ziemi, kiedy *Saturn* przyleci tam w otoczeniu dwudziestu czterech ołowianych satelitów, pełnych śmieci.

Zgasił mnie w mgnieniu oka.

— Ale... ale one nie będą z nami, kiedy wylądujemy, Sparks, Zaraz jak tylko wejdziemy w atmosferę ziemską, tarcie zniszczy wszystkie pojemniki Forenziego oraz ich zawartość.

Zagwizdałem cicho.

— O rany, ma pan rację. Zupełnie o tym zapomniałem, a Kapitan Hanson był taki rozbity, że też o tym nie pomyślał. To znaczy, że musimy ściągnąć te pojemniki z powrotem na pokład statku, zanim wejdziemy w tropo, inaczej stracimy sprzęt wart parę setek zielonych.

Biggs zaproponował potulnie:

— Ja... chętnie wyjdę w kosmos i pościagam je z powrotem, Sparks. Czy mógłbyś to załatwić ze starym?

— Spróbuję — obiecałem mu.

Następnego dnia porozmawiałem więc z kapitanem Hansonem na ten temat. Stary pociągnął się za wargę z namysłem i zgodził się.

— Niech się tym zajmie. To i tak lepiej niż dawać mu darmowy przewóz na Ziemię. A może uda mu się jakoś ześlizgnąć w strumień odrzutu rakiet?

Przekazałem rozkaz Biggsowi; potem wróciłem do kabiny radiowej. Joe Marlowe wywoływał mnie z Lunar Trzy. To co miał mi do przekazania, wybiło mi z głowy wszystkie inne myśli. Wiadomość pochodziła prosto z centrali Korporacji.

— Proszę poinformować — głosiła — o dokładnej wielkości i prawdopodobnej wartości ładunku. Potrzebna natychmiastowa odpowiedź.

Odpowiedziałem szybkim O.K. i przesłałem wiadomość do starego. Potem zaczęła mnie zżerać ciekawość, więc skontaktowałem się z Joem na naszym prywatnym paśmie konwersacyjnym i zacząłem go wypytywać co i jak. Odpowiedział ostrożnie.

— Bert, giełda w Nowym Jorku zanurkowała na łeb na szyję — poinformował mnie. — Akcje Korporacji spadają niemal do zera. Ogromnie potrzebuje tego ładunku.

O jejku, to były złe wieści! Wiadomość miała charakter prywatny, ale uznałem, że stary powinien o tym wiedzieć. Tak więc, kiedy przyszedł, powiedziałem mu o wszystkim. Wpatrywał się we mnie.

— Jasna cholera, Sparks! Ale w takim razie, nie mogę im wysłać *tego!*

„To”, była to wiadomość, którą zamierzał przekazać. Brzmiała ona krótko: „Ładunek uległ zniszczeniu. Wartość zerowa.”

— Jeśli pan to zrobi, wszyscy będziemy studiować ogłoszenia o pracy, zaraz jak tylko zawiniemy do portu. Rynki giełdowe dziwnie reagują. To nie może być przecież jakaś ogromna panika, ani też ładunek o wartości pięćdziesięciu tysięcy dolców nie jest znów aż taki ważny. Ale jeśli Korporacja jest pod ostrzałem, a oni dowiedzą się, że ładunek Saturna jest bezwartościowy...

— Co więc zrobimy?

— Grajmy na zwłokę — zasugerowałem. — Być może do czasu zanim dolecimy, sytuacja jakoś się wyklaruje.

Tak więc, wysmażyliśmy wiadomość, która nie powinna na razie za bardzo namieszać. Brzmiała ona następująco: „Wartość ładunku wyceniona została w porcie kosmicznym w Sun City na kwotę 50 000 dolarów.” I była to w zasadzie prawda...

**T**en właśnie moment, ze swym nieomylnym talentem do wyboru najgorszej możliwej chwili, wybrał sobie Biggs, żeby wpaść jak bomba do mojej kabiny radiowej. Zdjął z głowy kwarcytowy hełm, ale ciągle miał na sobie skafander, którego pozbawione nadymającego go powietrza fałdy, zwisały wokół niego, jak kiepsko udrapowane cielsko wenusjańskiego mamuta.

Oznajmił:

— Hej, Sparks, nie masz może jakiejś książki na temat energii i promieniowania?

— Proszę się obsłużyć — odparłem, wskazując na moją biblioteczkę. — Na co to panu i skąd ta nagła ekscytacja?

— Tak sobie pomyślałem — zaczął, — że być może...

Kapitan Hansen warknął jak rozgniewany lew:

— Panie Biggs! Myślałem, że miał pan zająć się odzyskaniem tych pojemników Forenziego?

— Tak jest, panie kapitanie. Miałem. To jest, chciałem powiedzieć, zajmuję się tym. Ale...

— Proszę zapomnieć o wszystkich „ale”! Niech pan wraca do roboty!

— T-tak, panie kapitanie — zaszutował pokornie Biggs; rzucił mi pełne wdzięczności spojrzenie. — Dzięki, Sparks. Mam pewien pomysł, i jeżeli mam rację...

— Wynocha stąd, Biggs! — zaryczał stary.

— Tak jest, panie kapitanie. — Biggs pośpiesznie się wycofał. Znikając za drzwiami, przerzucał strony książki. Hanson gniewnie pociągnął za dolną wargę.

— Korporacja plajtuje. *Saturn* może pójść pod młotek. My wszyscy wylatujemy z roboty. A ten... obłąkany młody arogant chce się bawić w szkołę!

— Wydawał się być czymś ogromnie podekscytowany — zauważyłem.

— I będzie jeszcze bardziej — obiecał stary, — jeśli nie ściągnie z powrotem na pokład tych pojemników.

Wszystko to, żeby nadać całej tej sprawie biblijnego tła, miało miejsce siódmego dnia lotu. Rejs *Saturna* miał trwać dziesięć dni. Zostały nam więc jeszcze trzy dni bólu głowy, zanim znajdziemy się na miejscu, w porcie kosmicznym w Nowym Jorku.

I były to naprawdę trzy dni bólu głowy. Szef i ja spędzaliśmy większość czasu wisząc na radiu, obserwując postęp spadku na giełdzie w Nowym Jorku. Mieliśmy nadzieję, że sytuacja trochę się poprawi, tak że nasze przybycie bez ładunku, niczego już nie będzie zmieniać. Niestety nie

mieliśmy takiego szczęścia. Jakimś sposobem rozeszły się pogłoski, że ładunek Saturna nie ma wystarczającej wartości, żeby utrzymać Korporację na powierzchni. A wilki z Wall Street zaczęły zacieśniać krąg, gotowe, aby rzucić się do gardła, jeśli pogłoski te okażą się prawdziwe.

Tymczasem, nasz głupiotki przyjaciel Biggs spędzał cholernie dużo czasu na odzyskiwaniu tych pojemników. Wiecie, to nie była jakaś specjalnie trudna praca. Musiał tylko wyjść na zewnątrz przez śluzę, zawiązać linkę wokół każdego pojemnika i wciągnąć go do środka.

Wydawał się być jednak przy tym równie niezdarny, jak przy każdej innej pracy, której próbował. Kiedyś, w czasie poza służbą, zszedłem do niego, żeby spojrzeć co robi. Zobaczyłem, że zawiązuje linki wokół poszczególnych pojemników, ale ani jednego z nich, nie wciągnął jeszcze do śluzy powietrznej.

Powiedziałem mu:

— Lepiej trochę by się pan z tym pośpieszył, Biggs. Jutro wchodzimy w tropo. Jeśli te pojemniki wpadną w atmosferę, będzie pan mógł co najwyżej *przełać* je do śluzy.

— Wiem o tym — odparł jakoś nie do końca z sensem — ale jeszcze nie jestem do końca gotów do... Sparks, zgodnie z tą książką, którą mi pożyczyłeś, promieniowanie kosmiczne osiąga długości do 1/100 000 angstroma?

— Tak, to prawda — odparłem.

— To znaczy, że są one ponad dziesięć razy bardziej intensywne od promieni gamma?

— Ponownie, prawda. Czemu pan pyta? Jaka z tego korzyść?

— Tego właśnie próbuję się dowiedzieć — odpowiedział dziwnie tajemniczo. Skończył zawiązywać pętlę wokół jednego z pojemników; odsunął się od niego i ruszył w stronę śluzy.

— Chce pan, żebym go teraz wciągnął do środka? — spytałem go.

— Nie, dzięki, Sparks. Myślę, że zostawię je jeszcze na zewnątrz, do jutra — powiedział.

— Ale, kapitan Hanson... — zacząłem.

— Jutro.

— Pomimo wszystko jestem tylko radiowcem — wzruszyłem ramionami. — To pański pogrzeb — dodałem jeszcze.

**P**owciągał je do środka, następnego dnia. Widziałem je, jak leżały na korytarzu koło śluzy powietrznej, przykryte pasem brezentu. Odzyskał je także niemalże w ostatniej chwili, ponieważ jakąś godzinę później weszliśmy w warstwę Heaviside'a.

Ustawiliśmy urządzenia jonosferyczne i przeszliśmy przez nią bez problemów. Od tego miejsca, było to już łatwe podejście do Ziemi. Wyrzuciliśmy nasze żagle lugrowe – wciągane metalowe płetwy, od których pochodziła nazwa „kosmiczne lugry” – i wysunęliśmy hamulce aerodynamiczne. Kilka godzin później siadaliśmy już koło naszego hangaru w porcie kosmicznym w Nowym Jorku.

Zabezpieczyłem swój nadajnik i zamknąłem kabinę radiową na klucz. Od tej pory nie miałem już nic innego do roboty. Poszedłem więc na górę do wieżyczki sterowniczej, gdzie znalazłem kapitana Hansona, który obgryzł już swój palec wskazujący niemal do drugiego stawu.

— I co, panie kapitanie? — spytałem.

— Są jakieś nowe informacje, Sparks? — zaczął dopytywać się z niepokojem.

Pokręciłem głową.

— Same złe wieści. Rada ma przysłać swoich rzeczoznawców natychmiast.

Oznajmił ze zmęczeniem:

— No cóż, zrobiliśmy co się dało. Gdyby nie to szaleństwo Biggsa, ciągle mielibyśmy nasz ładunek. Ale w obecnym stanie...

— Zastanawiam się, czy International Stratoplanes nie potrzebują jakichś operatorów radiowych — ponuro stwierdziłem.

Byliśmy już na ziemi. Kiedy szliśmy korytarzem, silniki zostały wyłączone i słyszeliśmy nawet syk otwierającej się śluzy powietrznej. Dotarliśmy do wjazdu dokładnie w chwili, kiedy przeszedł przez niego komitet powitalny. W jego skład wchodził Doc Challenger, pułkownik Brophy, a nawet sam stary Prendergast Biggs. Od razu wiedziałem, że sprawy źle stoją, inaczej wszystkie te grube ryby nie wyszłyby nam na spotkanie.

Challenger zrobił krok do przodu, cały rozpromieniony.

— Szczęśliwe lądowanie, panie kapitanie! — zarechotał. — Nie muszę chyba mówić jak bardzo się cieszymy, że dotarł pan bezpiecznie. Tutaj, w Nowym Jorku przeżywaliśmy złe chwile, proszę pana, bardzo złe. Teraz jednak wszystko już będzie dobrze.

Hanson odparł:

— Tak, proszę pana. Ale mam panu coś do powiedzenia...

— Później, kochany panie kapitanie, później. Przede wszystkim musimy się upewnić co do ładunku. *Mekel* i *clab*, warte w przybliżeniu 50 000 dolarów – zgadza się? Mamy tu ze sobą naszych rzeczoznawców. Jeśli pańska wycena była poprawna, Korporacja przetrwa ten... ehmm... łagodny sztorm.

Hanson nerwowo zakaszłał. Wił się jak piskorz.

— No cóż, tak... widzi pan... co do tego ładunku...

Jeszcze nigdy nie widziałem, jak na trzech twarzach równocześnie, tak nagle gasną uśmiechy. Na chwilę zapanowała kamienna cisza. Potem pułkownik Brophy powiedział przyciszonym głosem:

— Kapitanie Hanson, w pańskiej wycenie wartości ładunku, nie ma żadnego błędu, tak?

— Nie, proszę pana. To znaczy, chciałem powiedzieć, że wycena była poprawna, tylko...

**D**okładnie w tej chwili przerwał nam młody Lancelot Biggs.

— Proszę mi wybaczyć, panowie — oznajmił, — ale nie do końca rozumiem. Czy to, że wylądowaliśmy z tym ładunkiem *clab* i *mekel* jest jakoś szczególnie ważne?

Kapitan Hanson wszedł na niego.

— Biggs! — surowo warknął.

Potem zwrócił się do Prendergasta Biggsa.

— Proszę pana — oznajmił, — odwlekałem tę sprawę tak długo, jak tylko mogłem. Teraz jednak muszę panu o czymś powiedzieć. Ten pański wspaniały bratanek...

Starszy człowiek uśmiechnął się głupkowato.

— Tak, tak, kapitanie Hanson. Cudowny chłopak, co nie? Lancelocie, o czym zacząłeś nam mówić?

Złapałem Hansona za ramię. Myślałem, że wyjdzie z siebie i zaraz komuś przywali. Zanim jednak zdążył to zrobić, Lancelot Biggs zaczął znowu mówić. Do kapitana.

— Kapitanie Hanson — rzekł poważnym tonem, — szkoda, że mi pan nie powiedział tego wcześniej. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że nasz ładunek był taki ważny...

Potem zwrócił się do komitetu powitalnego.

— Panowie, mam nadzieję, że nie będzie to dla panów zbyt dużym zaskoczeniem, kiedy się dowiedzie, że naszym ładunkiem nie są rośliny. W ostatniej chwili kapitan Hanson postanowił dokonać zmiany...

Twarz Hansona zrobiła się biała. Wyskrzecztał:

— Co?! Czy pan próbuje zrzucić winę na...

Biggs przerwał jego protest.

— ...tak więc, panowie, ładunek jest tutaj, gotów do waszej inspekcji. Proszę popatrzeć!

Szybkim ruchem zerwał brezent z pojemników Forenziego. Spojrzałem na nie... i aż przełknąłem ślinę! Zgadza się, były to te same pojemniki. Tylko wyglądały one zupełnie inaczej! Nie były już zrobione z ciemnego metalu o białawym nalocie. Miały błyszczący, miedziany kolor! Biggs poklepał jeden z nich czule.

— Niech panowie poproszą swoich rzeczoznawców o wycenę tych przedmiotów. Myślę, że określą oni ich wartość na mniej więcej ćwierć miliona dolarów. One są... z czystego złota!

Dobrze, że trzymałem kapitana Hansona za ramię. Ponieważ w tej samej chwili, kiedy komitet powitalny wybuchnął okrzykami: „Wspaniale! Doskonały interes, kapitanie Hanson!”, nerwy szefa poddały się. Zapadł się jak przebity skafander kosmiczny. Pamiętam tylko, że krzyczałem:

— Wody! Niech ktoś przyniesie wody!

A potem również i ja odpłynąłem.

**P**o tym wszystkim, kiedy cała nasza trójka siedziała sama we wieżycy, Hanson zaczął się dopytywać:

— Ale jak to było możliwe, Biggs? Kompletnie tego nie pojmuję. Jak, u diabła, to się mogło stać?

Biggs poczerwieniał i wyglądał nieswojo.

— Panie kapitanie, przecież ta sprawa powinna być dla pana zupełnie oczywista, jeśli dokładniej pan ją przeanalizuje. Nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że nikt nie odkrył tego zjawiska wcześniej, w ciągu dwudziestu lat trwania podróży kosmicznych. Niewykluczone, że to dlatego, iż statki i skafandry kosmiczne są ze superstopu, a nie z ołowiu. Albo może jakiś enzym, skryty w zgniłych roślinach zadziałał jako katalizator. Ludzie z laboratoriów powinni to przestudiować.

— Ciągle nam pan nie mówi, co się wydarzyło.

— Nie wiecie panowie? To była transmutacja, wywołana w pojemnikach Forenzego pod wpływem działania promieniowania kosmicznego<sup>1</sup>.

Kapitan Hanson spytał pełnym pokory tonem:

— Spowodowane to zostało przez wystawienie na promieniowanie kosmiczne?

— Tak. Sztuczne transmutacje znane były już dawno temu, we wczesnych latach 20 wieku, z użyciem bombardowania promieniami gamma. Promieniowanie kosmiczne jest ponad dziesięć razy krótsze niż gamma.

— Zacząłem podejrzewać, że z tymi pojemnikami Forenzego stało się coś dziwnego, kiedy po raz pierwszy wyszedłem w kosmos, żeby je zacząć zbierać. Ich kolor nieco się zmienił, a powierzchnia zewnętrzna wyglądała na bardziej ziarnistą. To dlatego właśnie przyszedłem pożyczyć od Sparksa tę książkę o promieniowaniu. To, co w niej wyczytałem, przekonało mnie, że ołów przechodził transmutację; znajdował się wtedy w stanie meso-ołowiu; mniej więcej izotopu talu.

— Postanowiłem poczekać i zobaczyć, czy transmutacja będzie trwała dalej...

Hanson przejechał dłonią po czole.

— A przypuśćmy, że byłoby więcej czasu. I przypuśćmy również, że transmutacja poszłaby krok dalej. Co by się wtedy stało?

— No cóż, to bardzo interesujące pytanie. Następnym pierwiastkiem w dół drabinki jest platyna<sup>2</sup>. To całkiem możliwe, że...

— Niech pan zaczeka — przerwał mu stary. — Powiedział pan, platyna?

— Tak. Czemu pan pyta?

— Nic, nic. To jest nic ważnego.

Stary wstał i podszedł do telefonu interkomu.

— Ross? — zawołał. — Niech pan posłucha... Proszę przygotować tę łajbę do kolejnego lotu. Startujemy na Wenus jako pierwsi, jutro rano. A, i panie Ross! Proszę wysłać ludzi do magazynu po pięć – nie, nich będzie sześć – tuzinów pojemników Forenzego. Tak, powiedziałem, pojemników Forenzego.

---

<sup>1</sup> Ołów ma masę atomową 207, a jego liczba atomowa wynosi 82. Liczba atomowa odpowiada łącznej wartości dodatniego ładunku jądra. Złoto, z drugiej strony ma masę atomową 197, przy liczbie atomowej 79.

Utrata dwóch cząsteczek alfa i jednej cząsteczki beta w atomie ołowiu, powoduje przemianę tego atomu w atom izotopu złota, o liczbie atomowej 79 i masie atomowej 199. Dla praktycznie wszystkich celów komercyjnych, jest to to samo, co prawdziwe złoto (przyp. Autora).

<sup>2</sup> Platyna ma masę atomową 195 i całkowity łączny ładunek dodatni jądra 78 (przyp. Autora).

— Jeszcze jedno, Ross. Niech wezmą największe, jakie mają! Korporacja jeszcze o tym nie wie, ale wchodzimy w biznes transmutacyjny. A pan Biggs, przechodzi na stanowisko pierwszego oficera!

KONIEC